

Relacje w koalicji | Doradcy za miliony | Jak dawać kieszonkowe | Czas strażaków
Bunt katechetów | Polska Chorwacją Północy? | Applebaum o dyktatorach

POLITYKA.PL

POLITYKA



TYGODNIK, nr 37 (3480), 4.09–10.09.2024

Cena 12,90 zł (w tym 8% VAT) nr indeksu 369195

Czy nowe prawo zmieni polskie obyczaje

ZGODA

NASZE SEKS



Sejm uchwalił, a Andrzej Duda podpisał ustawę wprowadzającą nową definicję gwałtu

Gorączka Bliskiego Wschodu



Wydanie papierowe – w kioskach i na sklep.polityka.pl
Wydanie cyfrowe – [subskrypcja polityka.pl/cyfrowa](https://subskrypcja.polityka.pl/cyfrowa)
Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa
Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

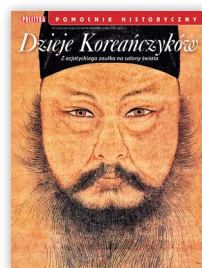
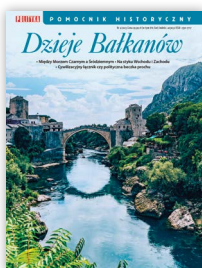
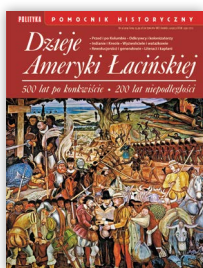
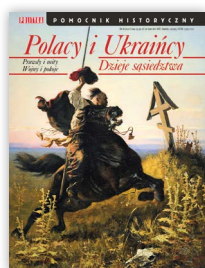
KUP TERAZ

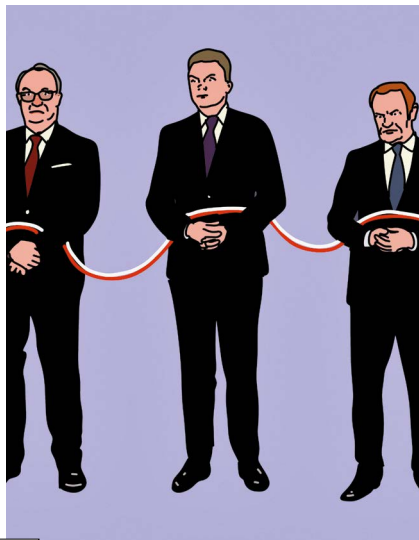


POMOCNIK HISTORYCZNY

Ponad 60 tytułów

Sprawdź na sklep.polityka.pl





16 Koalicyjne kryzysy i ocieplenia



26 Dzieci i pieniądze



36 Idą w dym

Temat tygodnia

- 12 Ewa Siedlecka **Nowa definicja gwałtu – jakie będą skutki zmiany przepisów**

Polityka

- 16 Rafał Kalukin **Co się dzieje w koalicji rządzącej**
 20 Katarzyna Kaczorowska **Karol Nawrocki: szef IPN kandydatem na prezydenta?**
 23 Anna Dąbrowska **Doradcy w spółkach – tak za rządów PiS rozdawano intratne stanowiska**

Społeczeństwo

- 26 Joanna Cieśla **Kieszonkowe: ile i na co wydają nasze dzieci**
 30 Norbert Frątczak **Polscy paralimpijczycy**
 33 Rozmowa z **Cezarym Gawrysiem** o tym, czy jakość szkolnej katechezy w ogóle obchodzi polskich biskupów
 36 Katarzyna Kaczorowska **Strażacy: gotowi na wszystko**



Rynek

- 40 Adam Grzeszak **Na wakacje do Polski – czy mamy szansę stać się Chorwacją Północy?**

- 43 Joanna Solska **W kogo najbardziej uderzy oskładkowanie zleceń**

Świat

- 46 **Anne Applebaum** o tym, jak można przegrać demokrację i dlaczego grozi nam autorytarna międzynarodówka
 49 Piotr Podemski **WŁOCHY Vespa: jak populiści próbują robić politykę na kultowym skuterze**
 52 Mateusz Mazzini **FRANCJA Dlaczego zatrzymano Pawła Durowa, twórcę Telegrama**
 54 Artur Domośłowski **WENEZUELA Maduro nie chce odejść**



Nauka/projektpulsar.pl

- 56 Marcin Rotkiewicz **Jak wynalezienie lodówki zmieniło świat**
 59 Katarzyna Kaczorowska **Reforma PAN: skąd tak gorący spór**
 62 Tomasz Roman Tarnawski **Nanoboty: czym są i czy pomogą w walce z nowotworami**

Historia

- 64 Maciej Górny **1914: jak po wybuchu pierwszej wojny światowej spekulowano żywnością i szukano zamienników poszukiwanych towarów**

- 67 Rozmowa z dr **Anną Dobrowolską** o nagości w czasach PRL
 70 PROSTO Z KSIĄŻKI

Kultura

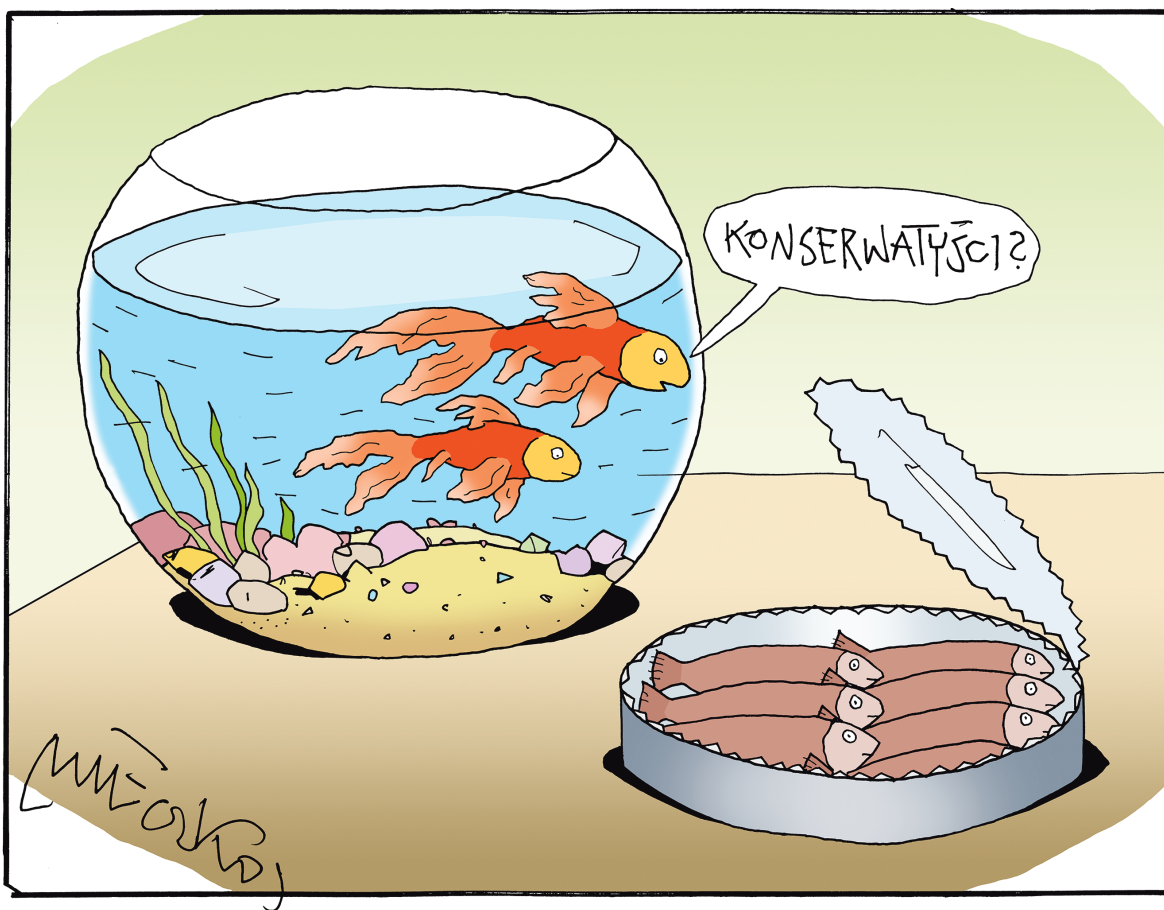
- 76 Aneta Kyzioł **Seriale fantasy: eksploatawanie na ekranie**
 79 Violetta Krasnowska **Filharmonia Lubelska: muzyka i polityka**
 82 KAWIARNIA LITERACKA **Julia Fiedorczuk**
 84 Rozmowa z **Tadeuszem Baranowskim** o komiksach, malarstwie i życiu
 87 MEA PULPA **Kuby Wojewódzkiego**

Ludzie i style

- 92–97 • **Imperium Rzymskie fascynuje**
 • **Tu się czyta**
 • **Od Yapy do yappingu**
 • **Balonowa moda**
 • **Ciężkie życie zadowolacza**
 • **Z psem na rower**
 • **Najdroższe wina świata**

Stałe rubryki

- **4** Mleczko i Mizerski • **6** Przypisy
 • **7** Ludzie i wydarzenia • **72** Afisz
 • **88** Chutnik i Plebanek • **89** Orliński
 • **90** Agata Passent • **91** Do i od redakcji
 • **98** Polityka i obyczaj



SŁAWOMIR MIZERSKI Z ŻYCIA SFER

Przywódca bez właściwości

Wiceministra edukacji Joanna Mucha wyraziła zaniepokojenie podejrzanym wyglądem posła Mariusza Błaszczaka. „To taka osoba, która idealnie nadaje się na szpiega, bo jest tak nierozpoznawalny, że nikt go nie zapamięta” oceniła. Z pewnością. Swoją drogą ciekawe, w jaki sposób ona sama zapamiętuje Błaszczaka jako Błaszczaka. I skąd pewność, że Błaszczak, o którym Mucha myśli, że udało się jej go zapamiętać, jest faktycznie Błaszczakiem, a nie kimś, kogo nawet w myślach trudno od Błaszczaka odróżnić?

Niestety, opisany przez Muchę Błaszczak według mnie nie nadaje się na agenta. Nie tylko dlatego, że nigdy nie ma niczego mądrego do powiedzenia (Marcin Mastalerk ujawnił, że ostatni mądry tekst Błaszczak wygłosił w kampanii w 2015 r., w dodatku był to tekst napisany przez Mastalerka), ale również dlatego, że po ewentualnym zwerbowaniu Błaszczaka jego oficer prowadzący mógłby go z powodu jego wyglądu nie rozpoznać jako kogoś, kogo zwerbował.

Prawda jest taka, że jako szef MON Błaszczak był trudno rozpoznawalny nawet przez niektórych najważniejszych generatów. Gdy na terenie Polski zaginęła wystrzelona przez Rosjan

rakieta, a jeden z nich upierał się, że o wszystkim informował Błaszczaka, ten zapewnił, że nie był o niczym informowany, co oznacza, że ten dowódca musiał powiedzieć o rakiecie komuś, kogo pomylił z Błaszczakiem.

Charakterystyczny wygląd Błaszczaka docenia Jarosław Kaczyński, który zna się na ludziach i dlatego ogłosił, że według niego Błaszczak byłby najlepszym kandydatem na przyszłego prezesa PiS. Deklaracja wzbudziła zrozumiałą sensację, pojawiły się nawet podejrzenia, że ponieważ Błaszczaka trudno rozpoznać, a jeszcze trudniej zapamiętać, Kaczyński też go z kimś pomylił. Chociaż według mnie prezes mógł po prostu uznać, że model przywództwa oparty na rozpoznawalności lidera się wyczerpał i lepiej, żeby w przyszłości Polacy zbyt łatwo liderów PiS nie rozpoznawali. Wiadomo, jakie szkody przyniosła PiS duża rozpoznawalność prezesa Kaczyńskiego, którego Polacy zapamiętują na długo. Tak jak innych ważnych polityków PiS, którzy z powodu łatwego do zapamiętania wyglądu są dziś obiektami zainteresowania prokuratury.

Nie wiem, czy w tej sytuacji nad swoim wyglądem nie powinien popracować także prezydent Andrzej Duda. Uważam, że jest stanowczo zbyt łatwo rozpoznawalny, co powoduje, że na większości imprez, na których się pojawia, publiczność niestety od razu widzi, że on to on, i przeraźliwie gwizdże.



Albatros travel

Finlandia i Estonia – bałtyckie perty

NOWOŚĆ

Wybierz się na fascynującą wycieczkę do dwóch nadbałtyckich krajów: Finlandii i Estonii z ich bardzo ciekawą historią, piękną przyrodą i wspaniałymi miastami.

Program wycieczki: Dz. 1 Warszawa – Helsinki. Przelot, zwiedzanie miasta i kolacja powitalna. Dz. 2 Helsinki – Turku – Fiskars – Helsinki. Fiński archipelag i urokliwe wioski wzdłuż wybrzeża. Dz. 3 Helsinki – Tallin – Tartu. Czas wolny w Helsinkach i przeprawa promem do Estonii. Dz. 4 Tartu – Jezioro Peypus – Tartu. Muzeum Narodowe i wizyta u „starowierców”. Dz. 5 Tartu – Parnawa – Tallin. Czas na relaks i zwiedzanie Parnawy. Dz. 6 Tallin, Estonia. Zwiedzanie miasta m.in. zamek na Wzgórzu Toompea, katedra św. Aleksandra Newskiego i Ogród Króla Duńskiego, z lokalnym obiadem. Dz. 7 Tallin. Czas wolny lub opcjonalna wycieczka do Parku Narodowego Laahemaa i patacu Palmse. Dz. 8 Powrót do domu.

8 dni | Wylot z Warszawy 04/04 2025 | **6.998,-**



Dziewicza przyroda Kostaryki

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do San José. Dz. 2 San José. Zwiedzanie miasta i Muzeum Złota, plantacja kawy. Dz. 3 San José – Tortuguero. Rejs przez dżunglę do łódki w lesie deszczowym. Miasto Tortuguero i ośrodek żółwi. Dz. 4 Tortuguero. Rejs kanatem w Parku Narodowym Tortuguero. Po południu czas wolny. Dz. 5 Tortuguero – La Fortuna. Rezerwat Tirimbina i wycieczka pod znakiem czekolady. Dz. 6 La Fortuna. Wodospad i obiad na farmie rodzinnej u Aguinaldo i Felicidad. Dz. 7 La Fortuna. Wiszące mosty w lesie deszczowym. Kąpiel w gorących źródłach. Dz. 8 La Fortuna – Manuel Antonio. Safari z krokodylami w Delcie rzeki Tárcoles. Dz. 9 Manuel Antonio. Wędrówka po Parku Narodowym Manuel Antonio. Po południu czas wolny. Dz. 10 Manuel Antonio. Relaksujący dzień nad Oceanem Spokojnym. Dz. 11 Manuel Antonio – San José. Relaks nad Oceanem Spokojnym. Wylot z San José do Warszawy. Dz. 12 Przyłot do Warszawy.

12 dni | Wyloty z Warszawy
08/02, 09/11 2025

od **20.498,-**

USA w rytmie jazzu i country

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Atlanty. Dz. 2 Atlanta. Zwiedzanie miasta, Statey Oaks oraz Muzeum Road to Tara. Dz. 3 Atlanta – Montgomery – Birmingham. Zwiedzanie Montgomery. Dz. 4 Birmingham – Lynchburg – Nashville. Dz. 5 Nashville. Zwiedzanie miasta i Country Music Hall of Fame. Dz. 6 Nashville – Memphis. Zwiedzanie Memphis i Sun Studios. Dz. 7 Memphis. Graceland i czas wolny. Dz. 8 Memphis – Clarksdale – Natchez. Muzeum Delta Blues oraz miasto Natchez. Dz. 9 Natchez – plantacja Oak Alley – Nowy Orlean. Dz. 10 Nowy Orlean. Spacer po zabytkowej Dzielnicy Francuskiej, jazzowy brunch i rejs po Missisipi. Dz. 11 Nowy Orlean – Montgomery. Zakupy w centrum outletowym i czas wolny. Dz. 12 Montgomery – Atlanta (ok. 255km). Podróż powrotna. Dz. 13 Przyłot do Warszawy.

13 dni | Wyloty z Warszawy
19/04, 04/10 2025

18.998,-

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81

Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8p.

Kod reklamy: PL34

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

Prawo a sprawiedliwość



Mariusz Janicki

W mediach społecznościowych słysząc, że aby nadal wspierać obóz władzy, trzeba sporo wybaczać, być coraz mniej krytycznym. Ale w końcu pojawiła się iskra i wybuchło: podpisanie się przez Donalda Tuska pod postanowieniem prezydenta Dudy o powołaniu neosędzię na funkcję w Sądzie Najwyższym wzbudziło furję u wielu nawet najtwardszych zwolenników obecnego premiera. Niewiele pomogły spóźnione tłumaczenia szefa rządu o błędzie urzędnika, „który nie dostrzegł polityczności dokumentu”, choć część sympatyków Platformy przyjęła to wyjaśnienie na zasadzie „zaufania”. Jednak pojawiło się również wiele uwag w rodzaju, aby „nie robić z ludzi idiotów”. Dość powszechna jest opinia, że jednak chodziło o układ z prezydentem w sprawie zaakceptowania kandydatury Piotra Serafina na stanowisko europejskiego komisarza (Duda faktycznie podejrzanie łatwo podpisał jego nominację, choć wcześniej pieklił się o kompetencje w tej sprawie). Pojawiły się też komentarze, że już lepiej by było, aby Tusk szczerze powiedział, że z sądownictwem do czasu wyborów prezydenckich i tak nic nie da się zrobić, a zaufany Serafin jest mu potrzebny do załatwiania spraw w Brukseli.

W każdym razie aby złagodzić atmosferę po tym „błędzie” (a także po sporach w koalicji, o czym na s. 16), premier Tusk zapowiedział spotkanie ze środowiskami prawników i trzy projekty ustaw mających naprawić sądownictwo, które pojawią się na biurku już nowego prezydenta. Ale sprawa z kontrasygnatą Tuska zwróciła uwagę na istotną kwestię. Konstytucyjny, demokratyczny etos, jaki stał za opozycją i jej wyborcami w latach 2015–23, to była ta najmocniejsza aksjologia, dająca przewagę moralną i obywatelską nad rządzącą prawicą. Gwałtowna reakcja na podpis Tuska pod nominacją neosędzię to jeszcze jeden dowód na to, że wątek praworządności wcale się nie zestarzał, nie stał się „zgraną melodią”. To wskazówka dla Platformy i całej koalicji, aby nie próbować omijać i wyciszać takich tematów, bo to wciąż główny napęd antyPiSu.

W kontekście praworządności i ustrojowych standardów bardzo istotna była decyzja Państwowej Komisji Wyborczej w sprawie finansowania kampanii wyborczej Zjednoczonej Prawicy. PKW zachowała się zgodnie z przewidywaniami, nie przyjęła sprawozdania komitetu wyborczego PiS (bo ta partia była podmiotem), ale nieprawidłowości wyliczyła tylko na 3,6 mln zł, zapewne również dlatego, aby nie być posądzoną o chęć zniszczenia głównego dziś opozycyjnego ugrupowania. Wiele zatem uszło formacji Kaczyńskiego płazem, jak choćby cała nienawistna propaganda ówczesnej telewizji rządowej, na którą szły setki milionów z budżetu państwa czy wydatki z Funduszu Sprawiedliwości na wyborcze prezenty. Ale ważne jest to, że PiS-owi nie udało się do końca oszukać systemu, a kara jest poważna.

Przewodniczący PKW, jeszcze przed podjęciem decyzji przez komisję, powiedział: „istnieje możliwość, że będzie sprawiedliwe rozstrzygnięcie, aczkolwiek niezgodne z prawem”; sam zresztą podczas głosowania nad sprawozdaniem PiS wstrzymał się od głosu. Pokazuje to, jak niewystarczające, wręcz absurdalne są przepisy, które – zdaniem przewodniczącego Marciniaka – trzeba być może łamać, aby „sprawiedliwie” ukarać wyborcze przekręty.

Ta sytuacja to dobry pretekst, aby te regulacje gruntownie przejrzeć i zmienić. PKW nie powinna być tylko biurem księgowych rewidentów, którzy czekają na spłynięcie dokumentacji, po czym sprawdzają rubryki i badają zgodność sum na zamówieniach i przedstawionych fakturach, ale instytucją aktywną, z własną komórką analityczną. Badanie sprawozdań *ex post* to za mało. Już w trakcie kampanii, a nawet prekampanii, które powinny być przez PKW monitorowane, partie muszą być ostrzegane, pouczane o możliwych błędach, przekroczeniach przepisów, niebezpieczeństwie odebrania dotacji i subwencji.

Trzeba wyraźnie określić w regulacjach, co jest dozwolone, a co zakazane, gdzie znajduje się granica między naturalnym dla każdej władzy prowadzeniem własnej polityki i jej promocji a niedozwolonym finansowaniem ze środków publicznych oczywistej agitacji wyborczej, jak to się działo np. podczas „pikników wojskowych”. Istotne bowiem, aby ukaranie PiS nie było odbierane jako akt zemsty, po którym przyjdzie kontrzemsta, ale jako początek naprawy systemu finansowania polskiej polityki, przekazania PKW nowych uprawnień i dostosowania kontroli wydatków ugrupowań do współczesnych realiów; chodzi o ograniczenie szarej strefy, z której PiS korzystał w skali wcześniej nieznannej.

Decyzja PKW o odrzuceniu sprawozdania wyborczego PiS będzie miała zapewne ciąg dalszy. PiS zapowiada pozwy sądowe wobec członków Komisji, ale istotniejsze będzie zaskarżenie decyzji PKW do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, która przypuszczalnie unieważni to rozstrzygnięcie, ponieważ jest neoizbą, stworzoną przez PiS właśnie na takie okazje. W sprawie immunitetów Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika marszałek Szymon Hołownia zignorował wyrok tej izby, ale teraz sytuacja jest nieco inna. Jeżeli Izba Kontroli Nadzwyczajnej odrzuci decyzję PKW, sprawa wróci do Komisji, która zgodnie z przepisami teoretycznie musi wówczas przyjąć sprawozdanie PiS.

Zatem minister finansów Domański, który zarządza wypłatami dotacji i subwencji dla partii, inaczej niż kiedyś Hołownia, nie miałby do czynienia bezpośrednio z orzeczeniem neoizby SN, ale ze skorygowaną decyzją PKW, przywracającą PiS wszystkie pieniądze. I wówczas może rozegrać się ustrojowy dylemat: czy Domański ma pominąć tę nową decyzję PKW, bo została ona podjęta na skutek wyroku nielegalnej izby SN? Czy też ma jednak uznać, że PKW, akceptując wyrok neoizby SN, niejako zmienia jej orzeczenie i trzeba wypłacić partii Kaczyńskiego należne środki? Chyba że sama PKW zignoruje rozstrzygnięcie neoizby i nie zmieni swojej pierwotnej decyzji, co Domańskiemu ułatwiłoby zadanie.

Szykuje się zatem kolejna ustrojowa batalia. Przypomina trochę tę o Kamińskiego i Wąsika. Gdyby tamci wrócili wtedy do Sejmu, byłaby to dla rządzącej koalicji katastrofa. Teraz, gdyby PiS ostatecznie uniknął wszelkich kar i dostał dotację oraz subwencję w nienaruszonej wysokości (ponadto miliony ze zbiorów i danin; a że jest komu z kręgów PiS płacić – o tym na s. 23), byłaby to jeszcze większa klęska. Partia Kaczyńskiego ukazałaby się jako wciąż bezkarna, bo jest na to za sprytna, obstawiona tworzonymi przez kilka lat przepisami i wpływami; więc może jednak z nią warto trzymać, a nie z obecną ekipą. Wyborcy będą uważnie obserwować wynik tego pojedynku i wyciągną własne wnioski – jeszcze przed kampanią prezydencką.

Więcej niż błąd

Zdaję sobie sprawę z wagi tego błędu, chociaż jego praktyczne konsekwencje nie są jakoś nadmiernie istotne” – oświadczył Donald Tusk, gdy okazało się, że jego zgoda na uruchomienie procedury wyboru neosędziego na funkcję prezesa Izby Cywilnej Sądu Najwyższego wzbudziła oburzenie i rozczarowanie. Nie wydaje się jednak, by premier rzeczywiście zdawał sobie sprawę z wagi zdarzenia. „Praktyczne konsekwencje” tego błędu są bowiem istotne.

Oburzeni i rozczarowani byli ci, którzy przez lata rządów PiS sprzeciwiali się upolitycznianiu sądownictwa, kwestionowali prawomocność neoKRS i nominowanych przez nią neosędziów. Oburzyły się autorytety świata prawniczego, stowarzyszenia sędziowskie, a przede wszystkim sędziowie SN, którzy usiłowali nie dopuścić do – spodziewanej – reelekcji dotychczasowej prezeski Izby Cywilnej, **neosędzi Joanny Misztal-Koneckiej**. Decyzja premiera zrujnowała ich wysiłki.

Donald Tusk kontrasygnował decyzję prezydenta Dudy dotyczącą wyznaczenia pełnomocnika do przeprowadzenia wyborów kandydatów na prezesa. Normalnie



wybory przeprowadza ustępujący prezes, ale prezeska Misztal-Konecka jako kandydatka w tych wyborach nie mogła ich jednocześnie organizować. Premier Tusk, próbując uciąć domysły dotyczące tego, jaki to „polityczny deal” zawarł z Andrzejem Dudą, oświadczył, że nie wiedział o tych wszystkich okolicznościach. Podpisał to, co dał mu do podpisania przewodniczący komitetu stałego Rady Ministrów Maciej Berek, który go nie uprzedził o „polityczności” dokumentu.

Najwyraźniej premier i jego otoczenie nie doszacowali skutków tej kontrasygnaty. Choćby tego, że Izbą Cywilną SN, przynajmniej do czasu zmiany

na prezydenckim urzędzie, będzie rządził neosędzia. Tak się dzieje od trzech lat, kolejny rok da się wytrzymać. Konsekwencją błędu jest też utrata zaufania sędziów – daniem im namacalnego dowodu, że na drodze do rozwiązania sprawy neosędziów stoi nie tylko prezydent. Okazuje się bowiem, że cała sprawa ma dla premiera i rządu niski priorytet – wszak pieniądze na KPO zostały już odblokowane. Mimo pogłębiającego się kryzysu i dramatycznych prób prezesów sądów, przewodniczących wydziałów i szeregowych sędziów próbujących ograniczyć szkody wynikające z produkowania wątpliwych wyroków przez neosędziów.

„Oświadczamy, że jesteśmy tą decyzją Premiera głęboko poruszeni i rozczarowani. Będziemy nadal robić, co w naszej mocy, aby stać na straży praw Polek i Polaków. Jednak odbudowa państwa prawa bez współdziałania władzy wykonawczej i ustawodawczej z władzą sądowniczą będzie trudna i długotrwała” – napisały w oświadczeniu organizacje sędziowskie.

Zapewnienie prawa do bezstronnego i sprawnego wymiaru sprawiedliwości, to obowiązek państwa. Cała sytuacja wygląda tak, jakby przerzucono ten obowiązek na sędziów. Znowu robią to, co przez osiem lat rządów PiS.

EWA SIEDLECKA

Nie zaciskamy pasa

Rząd przedstawił projekt budżetu na 2025 r., który z pewnością nie zapowiada zaciskania pasa, mimo że Polska została objęta unijną procedurą nadmiernego deficytu. To raczej budżet przedwyborczy, pełen miłych niespodzianek, jeżący włosy na głowach ekonomistów. Do hojnych transferów socjalnych, jak 800 plus oraz trzynastki i czternastki dla seniorów, do których społeczeństwo już się przyzwyczało, dojdą bowiem kolejne: babciowe, renta wdowia. Na zdrowie wydamy **222 mld zł**, czyli aż o 30 mld zł więcej niż w tym roku. Państwo zamierza w sumie wydać **aż 921,6 mld zł**, podczas gdy wpływy do budżetu wyniosą **zaledwie 632,6 mld zł**, a więc deficyt wyniesie **189 mld zł**. Takiej dziury jeszcze nie było!

O obiecanej kwocie wolnej od podatku w wysokości 60 tys. zł w przyszłym roku należy raczej zapomnieć. Premier Tusk najwyraźniej pilnuje, żeby owoce wzrostu – a raczej pożyczone pieniądze – trafiły przede wszystkim do kieszeni najuboższych, mimo że gospodarka, która w tym roku urosła o 3,1 proc., w 2025 r. zwiększy tempo do **3,9 proc.**, co skutkowało ma **7-proc. wzrostem wynagrodzeń**. Inflacja wyniesie **5 proc.**, choć w przymiarach do projektu zapisano **4,1 proc.** Bez pieniędzy z KPO, dzięki którym ruszą inwestycje, na czele z rozpoczęciem budowy elektrowni jądrowej – co zadeklarował minister finansów **Andrzej Domański** – nie byłoby to możliwe.

Uczciwie trzeba powiedzieć, że dziura w budżecie byłaby mniejsza, gdyby o **ponad 60 mld zł** nie powiększyła jej konieczność wykupu obligacji wyemitowanych przez BGK oraz Polski Fundusz Rozwoju po wybuchu pandemii, aby sfinansować wydatki w ramach funduszu przeciwdziałania Covid-19. Wydatki związane z pandemią nie były zapisywane w ustawie budżetowej, rząd PiS udawał, że ich



nie ma, bo nie powiększały wówczas deficytu. Teraz, gdy państwo ten dług musi zacząć spłacać, dłużej udawać nie można. Tyle tylko, że wydatki zapisane w budżecie lepiej odzwierciedlają rzeczywisty stan finansów państwa.

Ekonomiści z hojnego budżetu się nie cieszą. Niepokoi ich kolejna rekordowa pozycja: **187 mld zł**, które w 2025 r. rząd chce przeznaczyć na obronność. Jest wojna, musimy się zbroić, na zakupy uzbrojenia, ale też płace wojskowych i emerytury dla byłych żołnierzy wydamy zaledwie o **35 mld zł mniej** niż na publiczną ochronę zdrowia dla 37 mln obywateli. Co jednak niepokoi bardziej, to nasz brak wiedzy na temat zasadności tych zakupów (czytaj obok komentarz Marka Świerczyńskiego). Radość, że nie musimy zaciskać pasa, może być krótka. (SOL)

Wojenny budżet wojska?

Prawie 187 mld zł, a więc co piątą złotówkę w przyszłorocznym budżecie, rząd chce wydać na wojsko i jego zaopatrzenie. Ma to być 4,7 proc. polskiego PKB, znowu najwięcej w NATO i więcej niż w ubiegłym (4,2 proc.), też rekordowym, roku. Donald Tusk zaskoczył tym ruchem nawet Władysława Kosiniaka-Kamysza, który, owszem, zapowiadał podwyżkę, ale 10-proc. Tymczasem skok jest znacznie wyższy. Dlaczego z napiętego do granic wytrzymałości i zadłużonego po uszy budżetu rząd wyciska na obronność aż tyle? Chyba nie po to, by poprawić wizerunek Tuska, którego setki razy PiS oskarżał, że zaozbroja polską armię, zerwie kontrakty i zagłodzi zbrojeniówkę.

Premier i minister finansów Andrzej Domański przeszliżgnęli się nad obronnym rekordem ze znanymi hasłami na ustach: bezpieczeństwo jest priorytetem, armię trzeba wzmocnić, zbrojenia kontynuować. Znaczący rządowych rachunków mówią, że to, ile naprawdę się wydało, okazuje się dopiero po analizie zakończonego roku budżetowego i że Polska w 2024 r. raczej nie przekroczy deklarowanych 4 proc., to sam

fakt, że dopuszcza się wyższy limit, znaczy dużo i może niepokoić na kilku poziomach.

Najlepszą ze złych wiadomości byłoby to, że wydatki na zbrojenia i rozrost armii zostały niedoszacowane lub że – zyczajnie – wszystko podrożało. Produkty obronne nie umieją obronić się przed inflacją, a w zbrojeniach bywa ona wyższa niż w spożyciu. PiS pod względem zapowiedzi miał szeroki gest, ale z obliczeniami pisowcom szło gorzej. Ile będzie kosztować 300-tys. armia wyposażona we wszystko, co najlepsze, i co da się kupić? Tego nikt dokładnie nie wie, ale na pewno więcej niż wcześniej zakładano.

Rząd Tuska nie poszedł na żadne cięcia, choć przed wyborami zapowiadał audyt i „urealnienie” zamówień. Najlepszym przykładem jest kontrakt na 96 śmigłowców

Apacz – branża obstawiała jego redukcję, tymczasem został utrzymany. Tu startują bardziej pesymistyczne hipotezy wzrostu wydatków na wojsko – np. takie, że rzeczywiście zbliża się wojna i wszystkiego trzeba kupować więcej, szybciej, za każdą cenę.

Radosław Sikorski, niby mimochodem, wspominał w zagranicznym wywiadzie, że gdy będzie trzeba, Polska wyda na armię i 8 proc. PKB. W innej rozmowie wprost zapowiedział 5 proc. na przyszły rok. Te wydatki oczywiście mają służyć temu, by wojny nie było. NATO domaga się od sojuszników wypełnienia masywnych planów obronnych jednostkami, sprzętem, zapasami amunicji. To też może być powód urealnienia w górę.

MARK ŚWIERCZYŃSKI



Siadanie na trawie

Zespół Łazienek Królewskich wywołał gorący spór o to, co wolno w przestrzeniach publicznych, zwłaszcza w parkach. Przede wszystkim: czy wolno odpoczywać na trawie. Po nawałnicy, która przeszła przez Warszawę w połowie lata, na płocie Łazienek zawisła restrykcyjna lista zakazów, w tym właśnie wchodzenia na trawę. Goście parku zaczęli pisać w mediach społecznościowych o tym, jak zostali wyproszeni z trawników. Wezbrało oburzenie. Po kilku dniach restrykcje złagodniały i pojawiła się nowa lista „stref odpoczynku na trawie”.

Pracownikom Łazienek chodzi – jak mówią – o bezpieczeństwo gości i ochronę ogrodu. Gościom – o możliwość swobodnego odpoczynku. – *Po co nam parki, jeśli nie możemy się położyć na trawie? Brakuje nam kultury spędzania czasu wolnego, nawet bezproduktywnie. Potrzebuje jej polskie przepracowane społeczeństwo* – mówi Jan Mencwel, współzałożyciel stowarzyszenia Miasto Jest Nasze, obecnie warszawski radny.

Stopniowe „uwalnianie” trawników w Łazienkach zaczęło się w 2015 r., po dużej rewitalizacji; wcześniej relaksu na trawie w zasadzie nie było. Dlaczego – czy trawa to zabytek? Takie pytanie usłyszała kiedyś od spacerowicza Barbara Werner, główny ogrodnik i specjalista ds. ogrodów historycznych w Łazienkach w latach 2010–20. – *Oczywiście, że tak. Łazienki są parkiem o fenomenalnej wartości. Tak widocznego podziału na części XVIII-, XIX- i XX-wieczną nie można chyba zauważyć w żadnym innym ogrodzie na świecie.*



To dzieło sztuki i trzeba o nie dbać. Dla wszystkich – mówi Werner, dziś sekretarz generalny Polskiego Komitetu Narodowego Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków przy UNESCO.

– *Są w nas dwa walczące wilki* – przyznaje Mencwel. – *Jeden chce odpowiadać na rosnący popyt mieszkańców miast na swobodne korzystanie z terenów zielonych. Drugi – pielęgnować tradycję, w której piknikowanie się nie mieści.*

Polaków może irytować sama kultura zakazów „deptania trawników” i siemiężne regulaminy z ich formalizmem kojarzącym się z czasami słusznie minionymi. W Łazienkach kiedyś zabronione było bieganie (ściślej: było dozwolone od świtu do godz. 10). Zgodę na jogging przez

cały dzień wywalczyła w 2009 r. prawniczka Ewa Don-Siemion, która pisała w tej sprawie do ministra kultury.

Tak jak w Łazienkach, na trawniki nie można wchodzić np. w paryskim zabytkowym ogrodzie Tuileries. Inaczej wyglądają regulaminy w mniej chronionych i bardziej dostępnych parkach, jak nowojorski Central Park. Ale szczegółowe zasady – choć podane w sposób uprzejmy i przyjazny – są i tam. To np. zakaz palenia papierosów, także elektronicznych (czego w regulaminie Łazienek nie ma) czy nakaz prowadzenia psów na smyczy o długości nieprzekraczającej 6 stóp (ok. 1,8 m); a dronami nie wolno latać w całym Nowym Jorku, nie tylko w parkach. W Łazienkach wokół zmian w regulaminie ma się odbyć we wrześniu publiczna debata. Rzeczywiście: warto usiąść (?) i porozmawiać. (JHP)

Bomba Tuska: będzie referendum ws. aborcji?

Anna Siewierska

Profesorka Uniwersytetu Rzeszowskiego, politolożka.



Gdy podczas otwarcia czwartej edycji Campusu Polska Przyszłości Donald Tusk przyznał, że „nie ma się co oszukiwać w kwestii aborcji”, bo do następnych wyborów rząd nie zdobędzie większości potrzebnej do przegłosowania w Sejmie liberalizacji przepisów, wydawało się, że KO temat odpuszcza. I faktycznie, wśród polityków KO jest spora grupa takich, którzy uważają, że skoro nic się nie da teraz zrobić, to „grzanie” tematu w kampanii prezydenckiej, która od września rozpędzi się na dobre, służy tylko Lewicy. Argumentują ponadto, że temat aborcji mocno polaryzuje społeczeństwo, co może utrudnić rozszerzenie elektoratu poza tradycyjną bazę KO.

Tymczasem trafiłam na zaskakujący przeciek z otoczenia Tuska. Otóż KO nie tylko nie poddała się w sprawie aborcji, ale też szykuje prawdziwą bombę. Pomimo wcześniejszej krytyki tego pomysłu KO coraz poważniej rozpatruje propozycję koalicjantów, aby przeprowadzić referendum ws. aborcji. Warunek? Referendum miałyby się odbyć w dniu wyborów prezydenckich, co – biorąc pod uwagę coraz bardziej liberalne poglądy Polek i Polaków na kwestię dostępu do aborcji do 12. tygodnia ciąży – mogłoby się okazać prawdziwym „gamechangerem”.

Wykorzystanie precedensu Zjednoczonej Prawicy, która połączyła wybory parlamentarne z referendum (m.in. w sprawie prywatyzacji, wieku emerytalnego i polityki migracyjnej), byłoby faktycznie zagrywką godną Tuska. Jednym ruchem, już tylko zapowiadając referendum w tym konkretnym terminie, KO odebrałaby tlen Lewicy, złagodziła narastający wokół spraw światopoglądowych konflikt z PSL, zmobilizowała elektorat własny i rozszerzyła go o niezdecydowanych wyborców, zapewniła wysoką frekwencję w wyborach prezydenckich i – *last but not least* – odebrała argumenty tym wszystkim politykom obozu rządzącego, którzy

powołując się na swoje sumienie, odmawiają wsparcia sprawy liberalizacji prawa aborcyjnego.

Jest i aspekt humorystyczny – PiS nie może zarzucać koalicji manipulacji, ponieważ samo wcześniej przetarło szlaki. Zresztą i z prawnego, i z politycznego punktu widzenia sprawa jest prosta. Ustawa o referendum ogólnokrajowym wskazuje, że połączenie jest możliwe, a do jego zarządzenia przez Sejm konieczna jest jedynie uchwała podjęta bezwzględną większością głosów w obecności co najmniej połowy ustawowej liczby posłów.

Pozostaje kwestia narracji. Skoro bowiem jeszcze w kwietniu premier krytycznie wyrażał się o propozycji Szymona Hołowni, podkreślając, że w polskim systemie prawnym referendum o niczym nie rozstrzyga, to teraz należałoby wytłumaczyć wyborcom zmianę zdania. I być może twarde postawienie sprawy podczas Campusu miało być właśnie przedmową do nowej opowieści dla zniecierpliwionych i rozżalonych Polek. Bo że Polki są rozżalone, Tusk doskonale wie – i musi być świadomy niebezpieczeństwa z tego wynikającego. Nie wypada dłużej prosić o cierpliwość, skoro to już nie tylko prezydent Duda stanowi przeszkodę dla liberalizacji ustawy, ale też koalicjanci z PSL, którzy zapowiadają, że „nie będą naginać własnego sumienia” – wiadomo przecież, że łatwiej naginać cudze.

Wydaje się zatem, że temat referendum nieprzypadkowo wrócił po wypowiedzi Tuska w Olsztynie. Oto bowiem Radosław Sikorski w „Kropce nad i” (TVN24) stwierdził, że skoro „PSL uważa, że dobrym pomysłem byłoby referendum, bo jakieś gremium musi tę decyzję podjąć. Ja też widzę wagę tego argumentu”. A żeby nie było wątpliwości, że nie mówił jedynie w swoim imieniu, dodał, że całe PO nie ma z tym problemu, bo „sprawa związków partnerskich i poczucia bezpieczeństwa kobiet to są sprawy już nie do debaty, tylko do załatwienia”. Przy okazji kilkakrotnie wspomniął również o woli narodu, która powinna skończyć dyskusję.

Pozostaje zatem obserwować, która opcja w KO wygra. Czy ta zachowawcza, która temat aborcji chce na razie odpuścić, czy ta popierana przez harcówników w stylu Sikorskiego, których bawi sama myśl, że można pokonać prawicę jej własną bronią.

Para(o)limpiada

Już nie paraolimpiada, a paralimpiada. Nie paraolimpijczyk, a paralimpijczyk.

Od początku roku nie ma też już Polskiego Komitetu Paraolimpijskiego, jest za to Polski Komitet Paralimpijski (PKPar). Taką zmianę nakazał bowiem Międzynarodowy Komitet Paralimpijski (International Paralympic Committee, IPC). – *Traktujemy to jak powrót do źródła. Igrzyska dla osób z niepełnosprawnościami rzeczywiście nazywały się zawsze „paralympic games”, a nie „paraolympic games”* – zauważa Łukasz Szeliga, prezes PKPar. I wyjaśnia, że IPC nigdy nie dało zgody, żeby człon „olympic” pojawiał się w nazwie igrzysk paralimpijskich. Paralimpiada i olimpiada to bowiem dwa różne wydarzenia sportowe. – *Musielimy zastosować się do standardów międzynarodowych, bo IPC groziło nam nawet*



wykluczeniem z członkostwa. Powoływaliśmy się co prawda na opinię Rady Języka Polskiego, ale międzynarodowy komitet pozostał niewzruszony – wyjaśnia prezes Szeliga.

Zdaniem Rady Języka Polskiego przymiotnik „paralimpijski” jest niezgodny zarówno z polskim systemem językowym, jak i z tradycją. „Dziwi nas argument

o konieczności zmiany nazwy (utrwalonej w języku i zgodnej z jego systemem) na przypominającą obcojęzyczną ze względu na wymagania instytucji międzynarodowych. Nie ma takiej instytucji – ani w Polsce, ani za granicą – która miałaby prawo, by wymagać dokonywania takich zmian” – piszą w swoim oświadczeniu eksperci Rady, przypominając, że w języku polskim dodajemy człon „para” do innych wyrazów, tworząc np. paramedycynę czy parapsychologię; a co to jest „limpiada”?

– *To zalecenie odgórne i nie jesteśmy w stanie z nim dyskutować. Musimy się dostosować i w miarę możliwości stać się strażnikami tej zmiany* – mówi szef Polskiego Komitetu Paralimpijskiego. Który na swojej stronie internetowej konsekwentnie unika litery „o”. (FRAT)

O polskich paralimpijczykach czytaj więcej na s. 30.

Pożegnanie z przewidywalnością

Pierwszy raz po drugiej wojnie światowej partia uznawana za skrajnie prawicową wygrywa wybory w niemieckim landzie. Do regionalnego rządu najprawdopodobniej jednak nie wejdzie.

„Jedna trzecia wybrała faszystów!” – alarmuje w serwisie X niemiecki historyk Ilko-Sascha Kowalczyk. Niedzielne wybory do regionalnego parlamentu Turyngii wyraźnie wygrała Alternatywa dla Niemiec (AfD) – partia antyimigrancka i prorosyjska, przez wielu uważana za skrajnie prawicową. W sąsiedniej Saksonii zajęła mocne miejsce – tylko o włos przegrała tam z chadeką CDU. W obu wschodniemieckich landach zgarnęła ponad 30 proc. głosów. Coraz trudniej przyjdzie więc ją izolować. Latem 2023 r. jej lider w Turyngii **Björn Höcke** wygrał wybory na stanowisko starosty. Po najświeższym sukcesie mówi o „historycznym momencie” i oświadcza: „Jesteśmy gotowi wziąć odpowiedzialność za rządzenie”.

Taki scenariusz ciągle wydaje się mało prawdopodobny, bo trudno mu będzie znaleźć koalicjantów lub choćby stworzyć gabinet mniejszościowy. Jednak alternatywy wobec Alternatywy są bardzo ograniczone. Jeśli rząd zechce utworzyć chadekę, będą musieli się układać z Sojuszem Sahry Wagenknecht (BSW), która w młodości broniła muru berlińskiego, a dziś nadal dystansuje się wobec liberalnej demokracji. Jest równie proputinowska jak AfD i coraz wyraźniej zbliża się do niej pod względem antyimigranckiej retoryki. Zarówno w Turyngii, jak i Saksonii dało to BSW kilkunastoprocentowe wyniki.

Minioną kampanię wyraźnie zdominowały tematy ponadregionalne. Mizernie wypadły parte koalicji kanclerza Olafa Scholza. Jego Socjaldemokratyczna Partia Niemiec (SPD) w obu landach zanotowała jednocyfrowe rezultaty. Zieloni tylko w Saksonii z trudem przekroczyli 5-proc. próg wyborczy. Zupełną klęskę poniosła liberalna FDP. „Dla rządu federalnego wybory w Turyngii i Saksonii to katastrofa” – ocenia tygodnik „Der Spiegel”. Niewiele lepiej dla koalicji wyglądają sondaże przed wyborami w Brandenburgii, zaplanowanymi na 22 września. Politycy w Berlinie na razie robią dobrą minę do złej gry.

Owszem, wyniki na wschodzie zawsze mocno różniły się od ogólnoniemieckich. Jednak AfD to nie tylko problem byłej NRD. Ugrupowanie jest dziś obecne w ośmiu z dziesięciu regionalnych parlamentów zachodnich landów. W niektórych osiągnęło kilkunastoprocentowe wyniki. Na kolejne sukcesy liczy też Wagenknecht, której partia istnieje dopiero od kilku miesięcy. Stabilność i przewidywalność, z których przez dziesięciolecia słynęła niemiecka scena polityczna, szybko nie wróca.

FILIP GAŃCZAK



Trzeci i czwarty front

W zeszłym tygodniu Izrael otworzył trzeci front wojny z Palestyńczykami. Pierwszy to ten w Strefie Gazy, gdzie wciąż – szczególnie wokół Chan Junus – toczą się ciężkie walki. Drugi rozpościera się na północ od Izraela, tu przeciwnikiem jest libański Hezbollah. I chociaż tamtejsze walki ograniczają się do wymiany salw raketowych, to Izrael twierdzi, że jest gotowy na lądową inwazję. Trzeci front Izrael otworzył kilka dni temu na Zachodnim Brzegu Jordanu. Formalnie to druga – obok Strefy Gazy, gdzie w 2007 r. władzę przejął islamistyczny Hamas – i większa część Autonomii Palestyńskiej. Na Zachodnim Brzegu wciąż dominuje Fatah, świecka organizacja założona przez m.in. Jasira Arafata, ale i tam do głosu dochodzi Hamas, prowokowany ostatnio przez coraz bardziej agresywnych izraelskich osadników.

Izraelska interwencja skupia się na północy Zachodniego Brzegu, gdzie Hamas jest najsilniejszy. W weekend celowała już wyłączenie w obóz dla uchodźców w Dżeninie. Założony w 1953 r., aby dać schronienie Palestyńczykom wypędzonym przez Izrael po wojnie 1948 r., w ostatnich latach stał się „gniazdem szerszeni”, „stolicą męczenników” – ośrodkiem wyjątkowej radykalizacji. Według palestyńskich źródeł w obozie nie ma wody ani prądu, kolejne rodziny decydują się na ucieczkę. Z kolei Izrael informuje, że zabił tam już kilkudziesięciu bojowników Hamasu, w tym regionalnego szefa tej organizacji.

To jednak nie koniec frontów – w ostatni weekend czwarty otworzyła przeciw Izraelowi część jego obywateli. Bezpośrednim powodem było odnalezienie przez izraelską armię ciał sześciu kolejnych zakładników w tunelu pod Rafah w Strefie Gazy. W większości porwani z festiwalu muzycznego, gdzie zaczął się atak Hamasu 7 października, najprawdopodobniej zginęli od strzałów z bliskiej odległości kilka godzin przed nadejściem izraelskich żołnierzy. W kilku miastach Izraela natychmiast wybuchły największe od października **antyrządowe demonstracje**. Uczestnicy domagają się natychmiastowej umowy z Hamasem o uwolnieniu pozostałych zakładników: z 251 porwanych około setki wciąż jest w niewoli, kilkunastu może już nie żyć. Na nowe demonstracje rząd Beniamina Netanjahu zareagował tak jak na poprzednie – nie będzie negocjacji z terrorystami. Ale w sobotę do demonstrantów dołączył Histadrut, jeden z największych związków zawodowych. Jego szef ogłosił strajk powszechny, łącznie z blokadą ruchu na lotnisku Ben Guriona.



Sudan: wielki głód

Światowy Program Żywnościowy (agencja ONZ odpowiedzialna za dostarczanie jedzenia potrzebującym) alarmuje, że Sudan stoi w obliczu największego na świecie kryzysu głodu. Czyli sytuacji, gdy co piąte gospodarstwo domowe zmagają się z ekstremalnym niedoborem żywności, co najmniej jedna trzecia dzieci cierpi na ostre niedożywienie, a dzienna śmiertelność przekracza 2 osoby na 10 tys. Pograżony w brutalnej wojnie domowej Sudan jest krajem ludnym, ma ok. 50 mln mieszkańców, więc by zobrazować skalę rozpędzającej się tragedii, sięgać trzeba po przykłady historyczne. Ekstrapolacje ekspertów przewidują, że zginie nawet od 2 do 6 mln osób. Więcej niż w Etiopii w latach 80. – to wtedy gwiazdy muzyki rozrywkowej pod wodzą Boba Geldofa zagrały pamiętne koncerty Live Aid. Poprzednio tak źle, jak obecnie w Sudanie, było w Chinach na przełomie lat 50. i 60., w okresie tzw. wielkiego skoku, reform gospodarczych Mao Zedonga o fatalnych konsekwencjach.

W Sudanie też winni są politycy, tu w mundurach, którzy od kwietnia 2023 r. biją się o władzę. Na ich rywalizację nakładają się jeszcze spory na tle etnicznym. Zniszczono sporą część stołecznego Chartumu, liczba ofiar śmiertelnych przekroczyła 150 tys. osób, co piąty Sudańczyk opuścił swój dom. Przesiedleńcy nie mają dokąd uciekać, próbują trwać w prowizorycznych obozowiskach. Główne strony konfliktu – regularna armia i paramilitarne bojówki – używają dostępu do żywności jako broni. Do wielu miejsc w rozległym kraju nie można dotrzeć z zewnątrz.

Walki utrudniają lub zakłócają siewy, zbiory i dostarczanie pomocy, bo walczący atakują pracowników humanitarnych lub w najlepszym wypadku niechętnie wpuszczają transporty na niekontrolowane przez siebie tereny.

Nie ma innego sposobu na sudański głód niż zakończenie wojny. Napędzają ją jednak interesy rywalizujących ze sobą sąsiadów – Czadu, Egiptu, Etiopii i Erytrei – którzy toczą tu konflikty zastępcze. W Sudanie swoje możliwości testują też nowe mocarstwa nad Zatoki Perskiej, zwłaszcza Zjednoczone Emiraty Arabskie, Katar i Arabia Saudyjska. W sudańską wojnę uwikłane są także Turcja, Iran, Rosja i Stany Zjednoczone. Reszta świata traktowała dotąd sudańską wojnę domową jako kwestię peryferyjną. Jedyna nadzieja, że rozmiary kryzysu i ewentualne dolegliwości dla otoczenia – np. w postaci migracji – wpłyną na rewizję cynicznych kalkulacji.



Długi casting na premiera



Były minister oświaty Emmanuel Macron wystawił swojemu dawnemu szefowi następującą cenzurkę: prezydent Republiki umie znajdować genialne w swej prostocie odpowiedzi na skomplikowane problemy, ale jednocześnie potrafi absurdalnie skomplikować prostą sprawę, czyniąc ją nierozwiązywalną. Tak właśnie było, gdy szef państwa wbrew opinii kluczowych postaci w swojej partii i rządzie zdecydował się w czerwcu rozwiązać Zgromadzenie Narodowe. Najbardziej przenikliwi z nich ostrzegali, że wybory mogą przegrać wszyscy, bo elekcja wyłoni izbę złożoną z trzech z grubsza równych bloków. Wobec tak silnie spolaryzowanego parlamentu i tak mocno polaryzującej osoby prezydenta musi to oznaczać impas.

Najmniej zły wynik uzyskała lewica zjednoczona pod szyldem Nowego Frontu Ludowego. Paradoksalnie jednak pierwsze miejsce na podium nie ucieszyło jej przywódców. Porozumienie socjalistów, komunistów, zielonych i Francji Niepokornej (LFI) było małżeństwem z rozsądku wymuszonym ordynacją, które miało zostać rozwiązane tuż po objęciu mandatów. Wyborcze „zwycięstwo” wymusiło na stronnictwach, które dzieli wszystko, wysunięcie własnego kandydata na premiera. Po wielu tygodniach przepychanek wygrała kompromisowa propozycja nieznannej młodej ekonomistki Lucie Castets.

Sęk w tym, że dla centrum i prawicy nie jest do przyjęcia żaden rząd, w skład którego weszłyby ekstrema spod znaku LFI lub który realizowałby choć po części jej program. A gdyby prawica, zarówno umiarkowana, jak i skrajna, chciała zaproponować Macronowi własnego kandydata i prezydent na niego przystał, on również przepadnie w głosowaniu. Teoretycznie głowa państwa może raz jeszcze wskazać premiera i rząd, których zgromadzenie obaliło. Może wraz z nimi rządzić za pomocą dekretów. Może nawet sięgnąć po nadzwyczajne uprawnienia, które daje mu art. 16 konstytucji, i uchwalić budżet bez parlamentu. Osobiste rządy niepopularnego Macrona mogłyby jednak doprowadzić do wybuchu większego niż bunt żółtych kamizelek.

Lepiej więc szukać kompromisu. Znana jest słabość szefa państwa do wojskowych. Może więc generał lub admirał? Nie wypadaloby nazbyt mocno krytykować obwieszzonego medalami weterana zamorskich wojen. Media spekulują też, że Macron kusi premierostwem **Bernarda Cazeneuve'a**, wielokrotnego ministra i szefa rządu (2016–17). Ma socjaldemokratyczne poglądy i nadal wielu przyjaciół w Partii Socjalistycznej. Jednocześnie jest to swoisty socjalkonserwatysta: adwokat w dobrze skrojonym garniturze przywiązany do gaulistowskich instytucji V Republiki, który porzucił dawną partię, gdy ta zaczęła paktować ze skrajną lewicą. Bardziej kompromisowego kandydata wskazać się nie da.

MARCIN GIEŁZAK

Korea seksfałszywek

Sytuacja musi być poważna, jeśli w kwestii pornograficznych deepfake'ów na specjalnym posiedzeniu rządu, transmitowanym przez telewizję, ostro interweniuje południowokoreański prezydent Yoon Suk-yeol. Rzecz dotyczy rosnącej fali filmików pojawiających się w sieci, wykorzystujących autentyczne wizerunki, wklejane cyfrowo w pornograficzny kontekst. Ofiarami padają głównie gwiazdy K-popu i aktorki, ale też uczennice i nauczycielki, studentki i kobiety personel wojskowy, co – jak ogłoszono – podważa prestiż sił bezpieczeństwa. Według oficjalnych danych takich przypadków było w tym roku blisko 300, ale liczby wydają się mocno zaniżone. Tylko jedno z wyspecjalizowanych kont na Telegramie (według „Guardiana”) grupuje 220 tys. obserwatorów: jedni podrzucają wizerunki znajomych, inni przygotowują z nich pornofałszywki i wszyscy się nimi wymieniają.



Zdaniem analityków Korea Południowa przewodzi w tym procederze. W przeszłości odnotowano tu już czarną serię cyberprzestępstw o podłożu seksualnym, zwanych *molka* (podglądanie ukrytymi kamerami, także w damskich szatniach i toaletach). Głośna też była sprawa działającej na Telegramie siatki szantażującej głównie osoby nieletnie, rozbitej w 2020 r. (jej boss, Cho Jun-bin, skazany został na 42 lata więzienia). Skąd ta nadaktywność? W hierarchicznym i mocno zmaskulinizowanym społeczeństwie mężczyźni nie radzą sobie z **rosnącą siłą kobiet**, a te z kolei, odrabiając zaległości, szybko się emancypują. Stąd np. rosnąca popularność ruchu 4B, „czterech nie”: nie – małżeństwu, nie – flirtowaniu, nie – relacjom seksualnym z mężczyznami, nie – posiadaniu dzieci. Za szybko to się zmienia, jak na przyzwyczajenia patriarchy.